Turystyczny wehikuł czasu, albo plecak z tradycjami

- przewodnik alternatywny

Dofinansowano ze środków Samorządu Województwa Dolnośląskiego

Często wędruję po mojej rodzinnej Ziemi Kamiennogórskiej i Rudawach Janowickich. Niegdyś, jak wielu przede mną na długo, opuściłem te strony. Wyjechałem... Wróciłem jednak i tu stawiam dom, sadzę drzewa. Bo ziemia ta jest niezwykła: piękna i przyjazna, a jej historia pogmatwana i wspólna dla wielu: Polaków, Niemców, Czechów, Żydów, belgijskich Walonów i austriackich Tyrolczyków. Są tu miejsca przedziwne, tajemnicze, owiane legendami i obrośnięte mchem historii; piękno krajobrazu zapiera dech w piersiach, przyroda cieszy, a tradycja wzrusza każde serce. To tu właśnie, w wielu językach, ludzie pozdrawiali się na jarmarkach, mówili do pszczół i jabłoni, dziękując za ich dary. W każdą Wielkanoc zakopywali w ziemię skorupki jajka, by pobudzić jej płodność i witalność, a na Wigilię obwiązywali drzewa słomą, by odczuły ciepło dobrej nowiny.

Skąd ja to wszystko wiem? Ano wyciągam sobie z plecaka - plecaka z tradycjami, a w drogę wiezie mnie wehikuł nie byle jaki, bo wehikuł czasu. Tym, co wyjmę z plecaka dzielę się chętnie: z Tobą, z Wami i z psem. Rozdaję więc łomnicki kozi ser, raszowski chleb orkiszowy, trzcińskie pierniki i szarociński miód z głogu i dzikich malin; gotuję w kociołku, na kowarskich węglach zupę krajobrazową z ziół karkonoskich laborantów. A wieczorem siadam z Wami na werandzie Akademii Zrównoważonego Rozwoju na górskiej łące za Szarocinem i snujemy opowieści, legendy, klechdy i powiastki. Śpiewamy turystyczne pieśni - echo niesie je w góry, gdzie sam Karkonosz nuci je z cicha i powtarza wszelkiemu stworzeniu.

Przewodnik ten, tak jak ja, omija znane atrakcje turystyczne, unika zgiełku i tłoku, prowadzi nieprzetartym szlakiem, przez manowce i mokradła. Ścieżka może niełatwa, ale wiedzie przez miejsca piękne i godne: godne naszej ciekawości, zadziwienia i szacunku. Gdy spotkasz mnie na szlaku, idąc z tym przewodnikiem w ręku - nie rozpoznasz mnie. Nie rozpoznasz, ponieważ nie jestem jedyny - jest nas wielu pragnących poznać, ochronić i uszanować przepiękną Ziemię Kamiennogórską i malownicze, nieodkryte Rudawy Janowickie. Dlatego skiń ręką każdemu, kogo spotkasz na swej drodze, pozdrów dobrym słowem. Z Tobą będzie nas jeszcze więcej! Właśnie dlatego napisałem ten przewodnik alternatywny. Już dziś zapraszam Cię do ogniska: chętnie rozpakuję dla Ciebie swój plecak z tradycjami. Akademię Zrównoważonego Rozwoju znajdziesz z łatwością: idź ciągle w górę drogą przez Szarocin tak długo, aż skończy się asfalt... Czekam na Ciebie na werandzie!

SZAROCIN

„był sobie raz zielony las, a w lesie, jakby nigdy nic... stał sobie... rydz"

Nie, nie rydz, tym razem. We wsi Szarocin, na łące, na skraju lasu stoi od niedawna Akademia Zrównoważonego Rozwoju – siedziba Sudeckiego Stowarzyszenia Ekorozwoju Green Gate. Jeszcze nie całkiem wykończona, nie do końca gotowa, ale już teraz dzieje się tutaj wiele. Komu bliskie przyroda, harmonia z naturą, zrównoważony rozwój, tradycja, rzemiosło ludowe, pszczoły, kozy i górskie zioła – tego zapraszam. A i tych, co nic o tym wszystkim jeszcze nie wiedzą też zapraszam. Schylimy się po listek: jeden, drugi, trzeci i ugotujemy razem Zupę Krajobrazową, z tego, co rośnie wokoło. Wybierzemy kilka jajek na śniadanie, nazbieramy polnych kwiatów na drewniany stół. Sięgniemy na półkę w bibliotece po mój Przewodnik Alternatywny i zaczytamy się w historii regionu, słuchając brzęczenia naszych pszczół. Wieczorem pomilczymy razem na werandzie w czerwcową noc. I wrócisz do domu w lepszej komitywie ze światem i z samym sobą. A i tu, do nas też wrócisz z pewnością. Niejeden raz.

Wtedy przyrządzę popularną kiedyś potrawę – baraninę w ziołach. Mięso to dawniej często jadane w tych stronach (w Szarocinie stado liczyło 900 sztuk merynosów!) teraz niezmiernie rzadko gości na naszych stołach. Szkoda, bo jest smaczne i zdrowe . Wzorem starych karkonoskich górali wleję do kociołka garniec ciemnego piwa i źródlanej wody, wrzucę pęk ziół niezbędny, ot takich „chwastów" łąkowych – młode liście mniszka, pokrzywy, lebiodki, garść jagód jałowca dodam i szczyptę soli. Na świerkowym ogniu godzinkę lub dwie poddusze, z wolna, niespiesznie. I jeszcze serca też nie pożałuję i dobrego humoru dorzucę.

Idąc pod górkę, do Akademii, miniesz po drodze krzyż pokutny z wyrytym na nim nożem. Postawiono go tu przed wiekami na pamiątkę popełnionej zbrodni oraz w akcie skruchy i pokuty. Niewysoki, ciosany w kamieniu stoi wciąż przy drodze, przypomina i prosi o modlitwę.

We wsi Szarocin znajdziesz też zespół pałacowo-parkowy, którego początki sięgają XVII w. Zwykle można go podziwiać jedynie z dala, zza ogrodzenia, nie jest dostępny dla zwiedzających. Niegdyś był siedzibą właścicieli bogatej wsi, najokazalszą w okolicy. Oprócz pałacu zespół składał się z parku, folwarku, gorzelni i browaru. Dziś mieści się tu Dom Pomocy Społecznej.

LESZCZYNIEC

„podaj cegłę, podaj cegłę, zbudujemy nowy dom...”

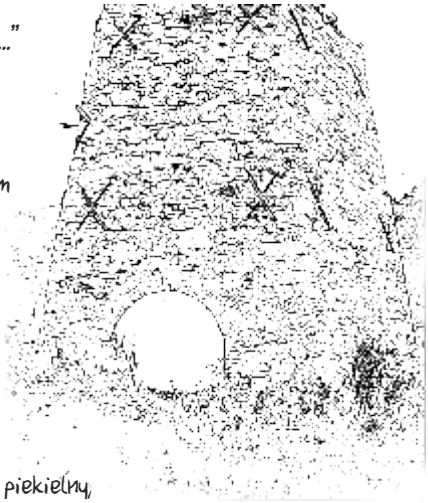

W Leszczyńcu, w malowniczej dolinie potoku o nazwie Srebrnik, ta piosenka od razu przychodzi na myśl. Bo do budowy potrzebna jest zaprawa. Składnikiem zaprawy zaś jest wapno, które wypalano tu już w XVIII w. w specjalnie zbudowanym, stojącym na końcu wsi piecu zwanym wapiennikiem. Wysoka, przypominająca kształtem zamkową wieżę kamienna budowla służyła do otrzymywania cennego wapna. Dotykam kamiennej ściany z obawą, by się przypadkiem nie oparzyć, choć przecież piec wygasł już przed wieloma laty. Wtedy gdy działał, żar bił od niego iście piekielny, gdyż wapno wypalano w temperaturze dochodzącej do 1200°C. Piec opalany drewnem pracował stale - nigdy go nie wygaszano. Opał na przemian ze skałą wapienną wrzucano od góry, a wypalone wapno wybierano przez otwór w dole urządzenia. Nie marnowano nawet popiołu, który wykorzystywany był jako nawóz!

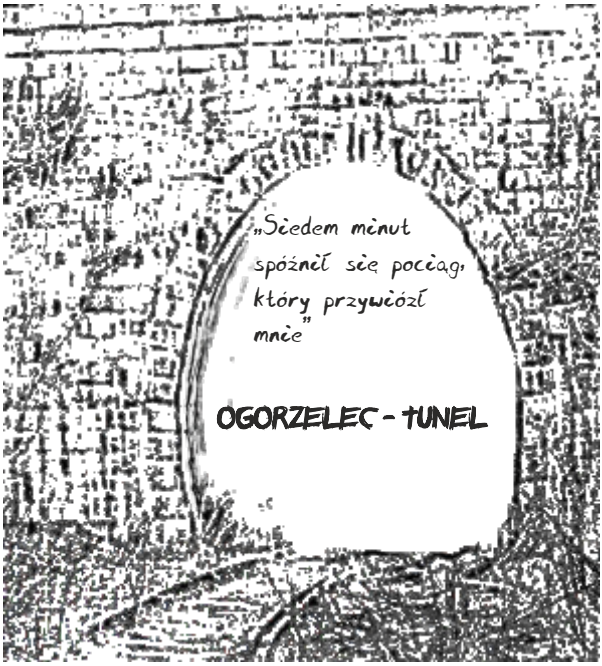

Pamiętasz swoje dziecięce podróże pociągiem? Ja zawsze zajmowałem miejsce przy oknie i często podróżowałem z nosem przyklejonym do szyby. Miarowy stukot kół towarzyszył wielu dziecięcym rymowankom, a mijające za oknem widoki i charakterystyczny szum wywołany prędkością zlewały się w całość jak w magicznym kalejdoskopie. Pamiętam emocje towarzyszące zapalaniu się światła przed wjazdem do tunelu. Oj, zaraz zrobi się ciemno! W każdym tunelu na trasie liczyłem jaki jest długi. A teraz stoję tu, w Ogorzelcu, przed czwartym pod względem długości tunelem kolejowym w Polsce i żałuję, że żadne współczesne dziecko nie może policzyć jak długo się przez niego przejeżdża...

SKALNIK

„Idę w góry, cieszyć się życiem..."

W niewielkiej odległości od mojego domu, w południowo-środkowej części Rudaw Janowickich podziwiać można, moim zdaniem, jeden z najpiękniejszych widoków na świecie. Do tego znajduje się on w bardzo mało uczęszczanej, a cudownie pięknej części tych gór. Warto, naprawdę warto zboczyć z utartych szlaków, by ujrzeć widoki niedostępne dla tysięcy oczu tłumów uprawiających turystykę autokarowo-barową.

Na Skalnik najlepiej wybrać się w pogodny, majowy dzień. Ten kopulasty, lecz posiadający dwa wierzchołki, najwyższy szczyt Rudaw Janowickich zbudowany jest z granitu karkonoskiego. Niewielki wysiłek włożony we wspinaczkę idzie w niepamięć, gdy tylko znajdziemy się na szczycie. Jak na dłoni widać stamtąd całe pasmo Karkonoszy wraz z wyniosłą ich królową: Śnieżką, pokrytą jeszcze gdzieniegdzie śnieżnym płaszczem. Ze szczytu Ostra Mała podziwiamy też rozległe panoramy Lasockiego Grzbietu, Kotliny Jeleniogórskiej, Pogórza Izerskiego, Gór Wałbrzyskich, Gór Kamiennych, Gór Kaczawskich oraz Rudaw Janowickich z Górami Sokolimi. Przy dobrej widoczności można stąd dostrzec Ślężę, odległą o wiele dziesiątków kilometrów. Dawniej można było cieszyć się panoramicznym widokiem również na Kotlinę Kamiennogórską. Obecnie świerkowy las porastający gęsto skalne zbocze przesłonił widok od tej strony.

Masyw Skalnika obfituje w ciekawe formy skalne, noszące czasem równie interesujące nazwy. Niemałą fantazją wykazali się przed laty harcerze, którzy podczas gaszenia pożaru traw porastających dolne partie zbocza nadali grupie skałek nazwę Konie Apokalipsy. Nazwa ta szybko przyjęła się w gronie bywalców tych stron.

Uwaga:
zbocza Skalnika
i ich okolice
porośnięte są lasem,
więc nie rozpalamy
tam ognisk!
Nasze piknikowe
produkty przynosimy
ze sobą w plecaku
z tradycjami,
a puste opakowania,
lekkie już jak
piórko, znosimy na
dół do śmietnika!

KAMIENNA GÓRA - MIASTO O WIELU OBLICZACH

W swojej ponad 800 letniej historii przeżyło wiele. Widziało wojów Bolka II, husyckich taborytów, sprzymierzone wojska cesarza Fryderyka Wilhelma III i cara Aleksandra I, którzy odpoczywali w zamku Kreppelhoff, strudzeni pozowaniem do portretów podczas odbierania defilady zwycięstwa nad Napoleonem.
Moje miasto rodzinne pomimo wojennych epizodów, rozwijało się dynamicznie. Słynęło głównie z tkactwa lnu i handlu płótnem lnianym. W XVIII w. holenderscy kupcy gościli często na kamiennogórskich targach lniarskich, ale równie często w naszych licznych zajazdach i oberżach, rozsławiając później w zamorskich koloniach jakość kamiennogórskich tkanin, moc trunków i urodę tutejszych mieszczek. Dziś historia się odwróciła i to nasza młodzież przebywa setki kilometrów, by zrywać, pakować i przygotowywać do eksportu holenderskie sałaty i pomidory.
Wiek XIX to rozkwit miejscowości. Nadal rozwijał się przemysł włókienniczy, handel, powstawały nowe tartaki, folusze, bielniki, małe, krochmalnie, także browary i gorzelnie.
Już w 1840 r. zaczęła funkcjonować pierwsza mechaniczna przędzalnia, a także kasa zapomogowo pożyczkowa. Podejmowano próby rozwinięcia górnictwa węgla, budowano nowe drogi, linie kolejowe. Ziemia kamiennogórska stała się miejscem odwiedzanym przez turystów - to dla nich powstawały liczne hotele i zajazdy. Zmodernizowano sieć wodociągową, miasto otrzymało sieć i oświetlenie gazowe i sieć telefoniczną. Koleją przybywali tu bezpośrednio z Wiednia i Berlina turyści i przemysłowcy, kupcy i robotnicy znajdujący zatrudnienie w wyrastających jak grzyby po deszczu fabrykach i manufakturach. Dziś, niestety, parowozy odjechały w mrok dziejów, szyny rdzewieją, a piękny, duży budynek dworca niszczeje, choć nadal bliżej stąd do Pragi, Berlina czy Wiednia niż do naszej stolicy, Warszawy. Nie polecam jednak nikomu skracania sobie drogi przez nieużywane torowisko. Często lokalna Policja stoi tam dzielnie na straży praworządności i niechęć do nadłożenia drogi może sporo kosztować...

Po latach świetności Kamiennej Góry pozostało wiele wartych uwagi miejsc i budowli. Chodzę więc ulicami i uliczkami, zaglądam w podwórka i zaułki. Zaczynam od Rynku, gdzie XVIII wieczne kamieniczki chwalą się rzeźbionymi frontami, opowiadając o profesji i pozycji społecznej dawnych właścicieli. Kieruję kroki do Muzeum Tkactwa, zaciekawiony ekspozycją na temat codziennego życia dawnych mieszkańców miasta. Lubię przestrzeń zadaszonego patio, które od niedawna tworzy nowy klimat tego miejsca. Odwiedzam jeden z nielicznych na Śląsku Kościół Łaski, którą to świątynię "z wieżą i dzwonnicą" w dobroci swojej wznieść pozwolił kamiennogórskim protestantom miłościwie wówczas panujący katolicki cesarz Józef I Habsburg. Ten "akt cesarskiej wspaniałomyślności" kosztował oczywiście wiernych sowitą opłatę, złożoną do szkatuły władcy. Na tzw. "głowę" wypadła chyba jednak rozsądna suma - kościół miał niegdyś kilka poziomów balkonów i 4 tys. miejsc siedzących!

Idę spacerkiem nad rzeką Bóbr aż do zamku Kreppelhoff (Straża), gdzie romantyczna miłość (lub - jak kto woli - interes polityczny) połączyła serca, włości i szkatuły Armgardy hrabiny zu Stolberg-Wernigerode, damy dworu niemieckiej cesarzowej z komandorem-podporucznikiem Oskarem hrabią von Platten zu Hallermund. Było to najświetniejsze, powszechnie podziwiane za styl i rozmach wesele ówczesnej Europy, z udziałem wielu osobistości, z których najsławniejszą był cesarz Wilhelm II. Do ruin prowadzi prastara aleja lipowa - zamknij oczy i zobacz weselny orszak: damy i kawalerów, karoce, paradne zaprzęgi, lokajów i kucharzy... Szambelanów dźwigających skrzynie z cesarskimi darami dla młodej pary, wśród których wyróżniał się diadem wysadzany diamentami... Nie, nie było skrzyń, co najwyżej mały kuferek, gdyż oprócz wspomnianego diademu zakochani dostali pamiątkowy talerz i wazę. Może to dlatego, że Wilhelm II był ostatnim cesarzem Niemiec, a czasy rozdawania zamków i latyfundiów bezpowrotnie minęły?

Wybierzcie się też do miejskiego ratusza. Nie stoi on na swoim tradycyjnym miejscu, bo pierwsza budowla służąca temu celowi wybudowana w XVI w. spłonęła, a następnie ją rozebrano. Obecny ratusz z 1904 r. zaciekawia stylowymi, neogotyckimi wnętrzami, a rajców i burmistrza strzegą kamienne lwy stojące w holu. Czasem, gdy są po śniadaniu wpuszczają mnie do wnętrza i do Sali Witrażowej, gdzie "na szkle malowane" widowisko głosi rycerską chwałę i spryt Bolka II zwanego Świdnickim. Książę ów w 1348 roku wykorzystał dobrze znany z historii starożytnej "fortel trojański" by odbić miasto z rąk Jana Luksemburczyka. Kazał naładować wozy sianem, a pod warstwami siana umieścił swoich wojów. Kiedy wozy ukazały się pod murami miasta, czescy żołnierze, potrzebujący siana dla swoich koni, zarekwirowali je i wprowadzili za bramy - to właśnie przewidział mądry Bolko. Kiedy wozy znalazły się wewnątrz murów obronnych, rycerze schowani pod sianem unieszkodliwili straże i umożliwili opanowanie miasta ukrytym w pobliżu oddziałom księcia. Wydarzenie to było powszechnie znane i szeroko komentowane w ówczesnych mediach, czyli kronikach.

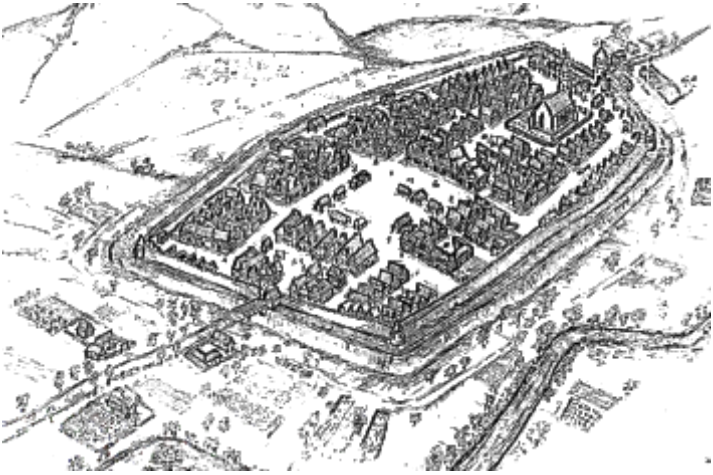

Spacerując po moim mieście słyszę czasem szum morskich fal i krzyk mew. W odległości ok. 500 km od najbliższego morza to jednak tylko figiel mojej wyobraźni, wspomnienie faktu, że Kamienna Góra leżała na sławnym ongiś Szlaku Bursztynowym, łączącym Bałtyk z krajami południa Europy. Dziś wiedzie tędy inny szlak, lokalny, choć też bursztynowy w kolorze.

To projekt Sudeckiego Stowarzyszenia Ekorozwoju Green Gate: Dolny Śląsk - kraina mlekiem i miodem płynąca.

RASZÓW

„A więc żegnaj mi, kochana ma...”

Ludzkiej pamięci, która jest wieczna i nigdy nie przemija dedykowane jest mauzoleum rodziny Schaffgotschów w małej, przepięknie położonej wsi łańcuchowej Raszów.
W ciszy wiejskiego kościółka, z dala od zgiełku i blichtru katedr i bazylik znajdę zabytek zaiste unikalny. W kościele tutejszym, tym samym, w którym w połowie XVII w. wygłoszono pierwsze w tych stronach kazanie w duchu luterańskim, spoczywają w piaskowcowych tumbach Hans Starszy von Schaffgotsch wraz z żoną Salomeą von Nimptsch, ich syn Hans Młodszy z żoną Margreth z domu von Hohberg. Inna, stojąca marmurowa płyta upamiętnia kolejnego rycerza z tego możnego, równego niemal ówczesnym książętom rodu. Postacie zmarłych przedstawione są w całym bogactwie i przepychu strojów, a twarze wyglądają jak żywe oblicza.
Mężowie i żony sprzed stuleci spoczywają więc tu, w Raszowie, śpiąc, czekając...

Stoję chwilę w milczeniu, zadumany nad kruchością życia. Przychodzi refleksja, jak rzadko okazujemy uczucia bliskim, zanim jest już na to zbyt późno. Wracając do domu przez rudawskie łąki nazbieram więc bukiecik polnych kwiatów dla żony.

„Chleb się chlebie, chleb się chlebie, bo nad chleb być może co...”

Szedłem nucąc te słowa. Dlaczego? Bo po drodze do raszowskiego kościoła po zapachu trafiłem do izby chlebowej w Domu Pachnącym Chlebem. Sam wyrobiłem ciasto na wieloletnim zakwasie, sam uformowałem bochenek i włożyłem go do pieca chlebowego - wszystko pod czujnym okiem gospodarzy. W oczekiwaniu na upieczenie się chleba poznałem wiele ciekawostek o mące, wodzie, zakwasie i innych rzeczach związanych z tym podstawowym pokarmem. A potem już tylko można było wyjąć z pieca gorący, pachnący bochen i rozkoszować się jego prawdziwym smakiem. W dalszą drogę - jak znalazł!

www.dompachnacychlebem.pl

CHEŁMSKO ŚLĄSKIE

W mojej wędrówce przez Kotlinę Krzeszowską dotarłem aż do Chełmska Śląskiego. Używam wyobraźni i chłonę dawną mieszczańską świetność tej wsi, będącej kiedyś pełnoprawnym przecież miasteczkiem. Chełmsko straciło w ostatnich dekadach nieco na splendorze. Jednak paradoksalnie właśnie dzięki zrujnowanym, niszczejącym kamienicom chełmskiego rynku wieś ta zyskała chwilową sławę. Jakiś czas temu stało się ono bowiem miejscem akcji, sceną, tłem i dekoracją świetnego widowiska Teatru TVP pod tytułem "Wizyta starszej pani" z Krystyną Jandą w roli tytułowej. Tak, jak wiele innych wsi i miasteczek mojego regionu Chełmsko ma bogatą historię, sięgającą X wieku.
Dla mnie najciekawszym elementem tej historii jest grupa szeregowo ustawionych domków, tzw. "Dwunastu Apostołów". Przy głównej ulicy, nieco jednak poza centrum stoi 12 domów drewnianych zbudowanych w XVIII w. przez zakon Cystersów specjalnie dla sprowadzonych z Czech katolickich tkaczy płótna lnianego. W środku w ogromnej ciasnocie mieszkali i pracowali tkacze. W porównaniu z nimi nie możemy narzekać na nasze M-2 i M-3. W tym samym wieku zbudowano w Chełmsku także Siedmiu Braci - domy murowano-drewniane dla tkaczy adamaszku z Bawarii. Do dziś zachował się tylko jeden z nich w pobliżu północnego wjazdu do rynku.

Warto zwiedzić ten unikalny w skali kraju kompleks domów. W domkach do dziś mieszkają osoby prywatne. W jednym z nich mieści się Kawiarnia u Apostoła, w której zostaniemy uraczeni wyśmienitą "Bombą Apostołów" (koniecznie!) oraz barwną opowieścią o Chełmsku, jego historii i zabytkach. Właściciel kawiarenki przyjmuje w oryginalnym lnianym stroju, jest urodzonym gawędziarzem, a swoje opowieści okrasza starymi pocztówkami z Chełmska, których posiada naprawdę pokaźną kolekcję. Na miejscu znajduje się również niewielki sklepik z rękodzielniczymi pamiątkami i tradycyjnymi tutaj wyrobami lnianymi.

KOCHANÓW

„Za karę, za zabicie toporem Mikołaja Jan wykuje krzyż kamienny
z wizerunkiem tegoż topora tam umieszczonym i postawi go w miejscu
swej okropnej zbrodni. Mikołajowa, wdowę, zaś pojmie za małżonkę, i syna jej,
jak własnego wychować musi... Panom Sędziom zasię, za trud ich i wyrok sprawiedliwy garniec piwa zacnego,
z Kupferbergu (Miedzianki) i barania, gicz z chrzanem w karczmie kochanowskiej srebrem opłaci..."

Zapewne wiele takich wyroków zapadło w średniowieczu przy tym stole sędziowskim. Nie było wtedy potężnych gmachów z Temidą, a sądy odbywały się pod gołym niebem przy udziale gawiedzi. Stół sędziowski, nieliczny taki zabytek w skali Europy pochodzi ze średniowiecza i jest bardzo dobrze zachowany. Składa się z wykonanego z kamienia stołu i ośmiu kamiennych siedzisk – niektóre z oparciami. Usytuowany jest w kręgu kamiennych głazów, na zboczu wzgórza w rudawskiej wsi Kochanów. Panuje opinia, że miejsce to służyło w czasach prehistorycznych tajemniczym, rytualnym obrzędom i do dzisiaj emanuje potężną energią...

KRZESZÓW

Zespół cysterski w Krzeszowie widać z daleka - trafisz bez przewodnika. Ogromny kościół z wysokimi wieżami sprawia monumentalne wrażenie w Kotlinie Krzeszowskiej. Każdy, kto zbliżał się do Krzeszowa przed wiekami, chłop, rycerz czy zakonnik, tracił dech w piersiach na widok niepojętej potęgi bożej mocy. Mocy wspartej kamieniem, drewnem, wapnem, nadzieją i wiarą, modlitwą i pieśnią. Ale też zasobnością i wpływami politycznymi zakonu Cystersów w tych stronach. Warto zwiedzić kompleks wpisany na listę dziedzictwa kulturowego UNESCO. Ciekawe, może najciekawsze tutaj są obrazy i freski Michaela Willmanna w obu kościołach zespołu klasztornego, stare wielkie organy z 30 piszczałkami i 30 registrami oraz mauzoleum Piastów Śląskich z tyłu dużego kościoła. Wielowiekowa historia opactwa często bywała mroczna, tak jak postać słynnego opata Bernarda Rossy, który z zaporzałą bezwzględnością tępił wszelkie przejawy protestantyzmu, będąc bezlitosnym dla mieszkańców licznych ziem klasztornych. Ale to także z jego inicjatywy powstała rozległa kalwaria, czyli droga krzyżowa i wszystkie jej 33 stacje. Ich kaplice także mieściły rozliczne dzieła pracowni mistrza Willmanna. Pod murami klasztoru nie ma już dziś, choć drzewiej była, gospody nazywanej Willmannową Pokusą. Podania głoszą, że mistrza trzeba było zamykać w kościele aby malował - w przeciwnym razie wolał szukać natchnienia w trunkach i szukał go długo i intensywnie, ku zgryzocie pobożnych braci i niemałej wściekłości opata. Jemu to bowiem żyd karczmarz prezentował do zapłaty rachunek równie wysoki, co głównie z mocnych trunków złożony. Miast w starej gospodzie można zanocować w budynku klasztoru u Sióstr Benedyktynek. W ogromnych salach w pełni poczujesz splendor baroku i niezwykłą atmosferę tego miejsca. A przez niektóre okna zapatrzyć się łatwo w wody Zadrny, gdzie na kamiennym moście figura św. Jana Nepomucena od powodzi, suszy, nieszczęść strzegąca i pomyśleć o nieuniknionym, jak woda w rzece upływie czasu.... Następnie, by myśli rozjaśnić nieco, spróbować należy obowiązkowo dżemu z piguły i innych wyrabianych na miejscu smakołyków przygotowywanych przez Siostry Elżbietanki mające swój dom gościnny w pobliżu mostu.
Na samą myśl o takich przysmakach zgłodniałem.

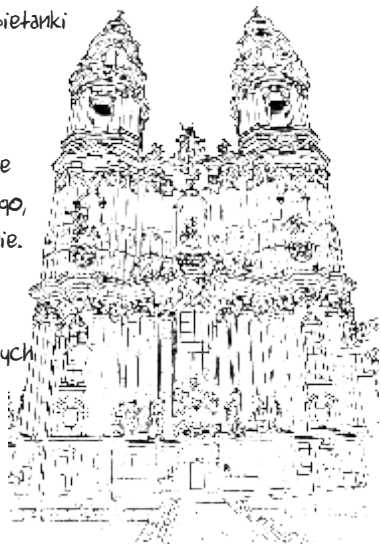

Idę więc w górę do cieszącej się zasłużoną, ciągle rosnącą sławą Wańczykówki, gospodarstwa specjalistycznego, a właściwie serowarni pełną gębą w przenośni i dosłownie. Tam dowiem się wszystkiego o sekretach wyrobu dobrego sera, spróbuję różnych jego rodzajów przygotowywanych przez gospodarzy, może wezmę udział w bardzo inspirujących i ciekawych warsztatach, a na pewno kupię kilka rodzajów sera z mleka krowiego i koziego.
Bo jest tu w czym wybierać!

www.wanczykowka.pl

CZARCIA MACZUGA

„Idzie diabeł ścieżką krzywą, pełen myśli złych…"

Ścieżek krzywych i prostych w naszych Rudawach dostatek. Wędrując nimi samotnie lepiej mieć pod ręką tęgi kostur, bo nigdy nie wiadomo, kiedy drogę zastąpi diablisko szpetne. Już go onegdaj w okolicy widywano. A było to w XII wieku kiedy cystersi budowali klasztor, co wielce rozzłościło diabła, który zamieszkiwał tamtejsze okolice. Postanowił go zniszczyć, zrzucając na budowę głaz wielki i ciężki, nawet dla piekielnych mocy. Musiał to zrobić w nocy, zanim pierwszy kur zapieje, bo o świcie tracił nadprzyrodzone siły. Leciał więc z głazem w stronę Krzeszowa. Gdy był już nad Gorzeszowem koguty zaczęły piać i diabeł upuścił głaz, który spadł nieopodal gorzeszowskiej karczmy. Stąd ludzie zaczęli nazywać tę skałę Czarcią Maczugą lub Czarcim Głazem.

Z wielu miejsc w okolicy widoki rozpościerają się szeroko. Dobra to okazja, aby poszerzyć też nasze horyzonty kulinarne i zrobić sobie przerwę na posiłek. Proponuję tradycyjną karkonoską zupę o nazwie „kyselo". Tę, która królowała jeszcze całkiem nie tak dawno w całych Karkonoszach i na Pogórzu. Istnieje powiedzenie, że z kyselo wstawało się i szło spać. Używam czeskiej nazwy, ponieważ zupa dalej gotowana jest po południowej, czyli czeskiej stronie gór. Po polskiej została zapomniana, prawie tak, jak dawni mieszkańcy tej śląskiej części Karkonoszy, ich bogata kultura i tradycja.

Potrzebny jest zakwas żytni, podobny do tego, którego używa się do żuru, ale bez czosnku i majeranku. Zachęcam do zrobienia go samemu. 200-300 g takiego zakwasu mieszamy z 1 l wody, dodajemy kminek, sól, ugotowane i posiekane grzyby (jeśli świeże 100 g grzybów; suszonych wystarczy 10 g, ale trzeba je wcześniej namoczyć) i wywar z gotowania grzybów. Wszystko gotujemy pół godziny. Na koniec dodajemy obsmażoną na złoto na maśle 1 posiekaną cebulkę i 2-3 roztrzepane całe jaja. Całość zagotowujemy, doprawiamy śmietaną.
Podajemy z ugotowanymi, pokrojonymi ziemniakami (w wersji bez diety można ziemniaki przysmażyć;).
Smacznego!

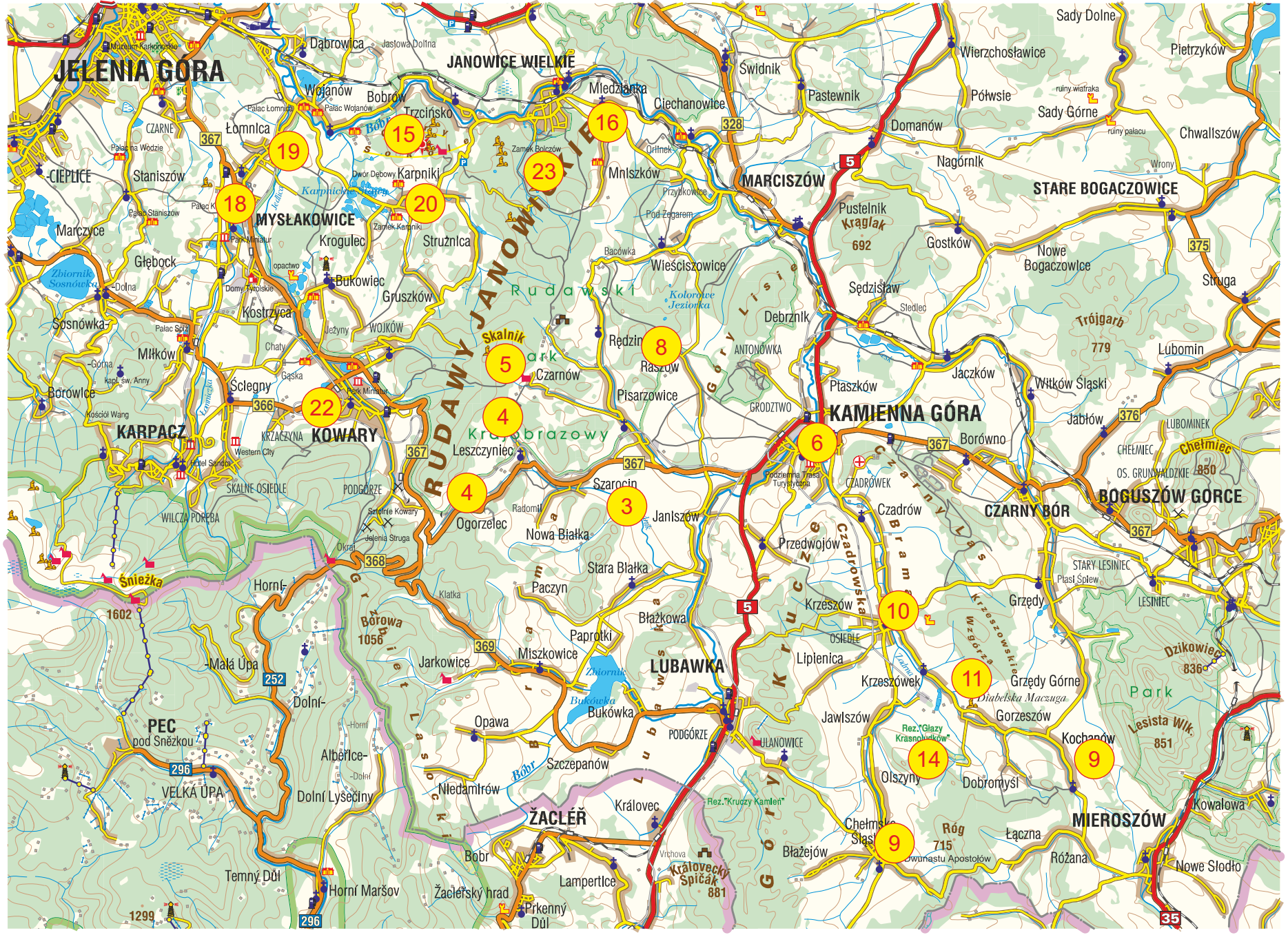
JELENIA GÓRA
JANOWICE WIELKIE
MARCISZÓW
STARE BOGACZOWICE
MYSŁAKOWICE
KAMIENNA GÓRA
KARPACZ
KOWARY
CIEPLICE
CZARNY BÓR
BOGUSZÓW GORCE
LUBAWKA
ŽACLÉŘ
MIEROSZÓW
PEC pod Sněžkou
VELKÁ ÚPA
RUDAWY JANOWICKIE
Rudawski Krajobrazowy
Śnieżka
Chełmiec
Dzikowiec
Lesista Wlk.
Trójgarb
Kruczy Kamień
Skalnik
Karpnicki Staw
Park Miniatur
Park Śląski
Park Dzikowiec
Rez. "Głazy Krasnoludków"
Rez. "Kruczy Kamień"
Zamek Bolczów
Zamek Karpniki
Muzeum Karkonoskie
Pałac Łomnica
Pałac Wojanów
Pałac Staniszów
Pałac Schl
Pałac na Wodzie
Dwór Dębowy
Kapl. św. Anny
Kościół Wang
Hotel Sandra
Western City
Domy Tyrolskie
Kolorowe Jeziorka
Zbiornik Sosnówka
Zbiornik Bukówka
Bóbr
Kwisa
Lomnicka
Jedlica
Karpnicka
Lubawka
Kruczy
Czarny
Czadrowska
Krzeszowskie
Wzgórza
Lasockie
Lubawskie
Bramy
Górne
Borowa 1056
Królovecký Spičák 881
Róg 715
Diabelska Maczuga
Jelenia Struga
Szlenie Kowary
Okraj
Radomil
Klatka
Ladrna
Vrchova
Podzienna Trasa Turystyczna
Sady Dolne
Pietrzyków
Wierzchosławice
Świdnik
Pastewnik
Półwsie
Sady Górne
Chwaliszów
Domanów
Nagórnik
Ciechanowice
Miedzianka
Mniszków
Orlinek
Przyrykowice
Pod Zegarem
Pustelnik
Kraglak 692
Gostków
Nowe Bogaczowice
Struga
Sędzisław
Siedlec
Debrznik
Wieściszowice
Bacówka
Rędzin
Raszów
Czarnów
Pisarzowice
Ptaszków
Jaczków
Witków Śląski
Jabłów
Borówno
Czadrów
Czadrówek
Przedwojów
Szarocin
Janiszów
Ogorzelec
Leszczyniec
Nowa Białka
Stara Białka
Paczyn
Błażkowa
Paprotki
Miszkowice
Jarkowice
Opawa
Bukówka
Szczepanów
Niedamirów
Královec
Lampertice
Bobr
Prkenný Důl
Žacléřský hrad
Horní Maršov
Temný Důl
Dolní Lysečiny
Albeřice
Dolní Lysečiny
Malá Úpa
Horní
Dolní
Krzeszów
Lipienica
Krzeszówek
Grzędy
Grzędy Górne
Gorzeszów
Jawiszów
Kochanów
Olszyny
Dobromyśl
Kowalowa
Łączna
Różana
Nowe Słodło
Chełmsko Śląskie
Błażejów
Dwunastu Apostołów
Ulanowice
Podgórze
Stary Leśniec
Leśniec
Chełmiec
Os. Grunwaldzkie
Lubominek
Lubomin
Struga
Wrony
Ruiny wiatraka
Ruiny pałacu
Ruiny zamku
Park Śląski
Park Dzikowiec
Park Lesista Wlk.
Park Miniatur

GŁAZY KRASNOLUDKÓW

Rudawskie formacje skalne od zawsze pobudzały wyobraźnię. W bliższej lub dalszej okolicy natknąć się można na głazy przypominające piec, fajkę, konie i inny zwierzyniec i takie też nazwy noszące. A w Gorzeszowie, nad senną, spokojną wioską górują skalne grzyby, zwane „Głazami Krasnoludków". Zadziwiające, jak miliony lat erozji, śniegów, deszczy i wiatrów ukształtowały te niezwykłe głaziska. Biorę ze sobą aparat, bo krasnali spotkać tu można także najprawdziwszych. Małe, średnie i nawet całkiem duże, dorosłe krasnale z całej Polski i innych skrzacich królestw i dominiów mają tu latem swój doroczny zlot. Muszę chyba jednak zawrócić do domu, po czerwoną czapkę!

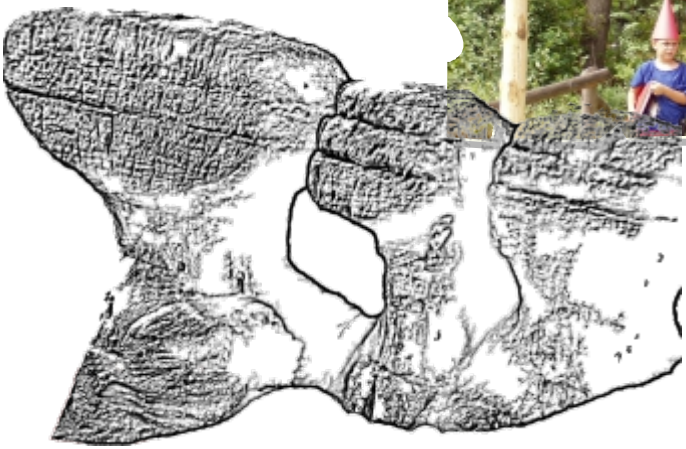

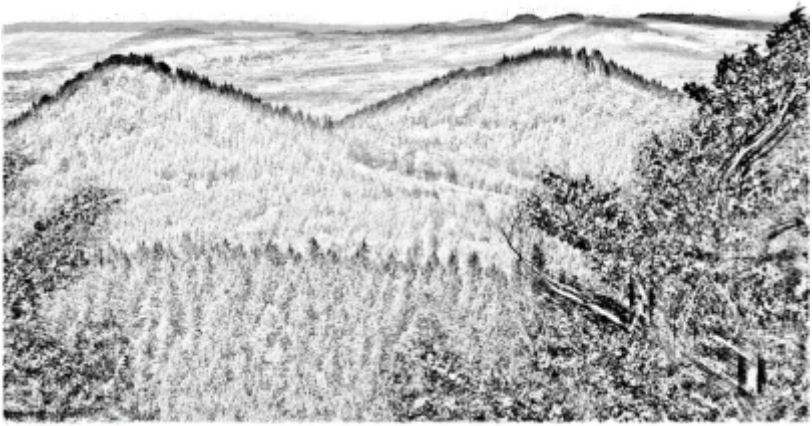

TRZCIŃSKO I SOKOLIKI

„bagno, bagno, gdzie nie spojrzę, gdzie nie stanę..."

Od dziecka nie lubię bagien. Przerażały mnie opowieści o koniach, powozach i ludziach, które wpadały na zdradliwy teren i nikt ich więcej nie widział. Dlatego niechętnie idę na Trzcińskie Mokradła. Może nieopatrznie postawię stopę a plecak ciężki od tradycji pociągnie mnie w dół i nikt nie usłyszy moich wołań? Nie grozi mi taki los jeśli będę trzymać się ścieżki. Mokradła stanowią obszar kilkudziesięciu hektarów torfowisk. Dawniej teren ten był o wiele rozleglejszy. W latach 60-tych duża część tego obszaru została niestety zmeliorowana, co doprowadziło do ograniczenia tak cennego przyrodniczo środowiska naturalnego. Obecnie niewielki fragment torfowisk zachował się między Janowicami Wielkimi a Trzcińskiem. Szukam tu roślin rzadkich i chronionych, takich jak owadożerna rosiczka okrągłolistna, żurawina błotna, wełnianka pochwowata i modrzewnica zwyczajna, storczyk kukułka plamista, gnidosz rozesłany, naparstnica zwyczajna, fiołek błotny, kuklik zwisły, rabiniec pospolity, tarczyca pospolita, knieć błotna. Są one wypierane przez przywleczone niebacznie lub wysiewające się samodzielnie rośliny ekspansywne, jak sosna wejmutka lub tawuła wierzbolistna. Trzcińskie mokradła to istny rezerwat przyrody. Spełnia wiele pożytecznych funkcji będąc siedliskiem błotnych ptaków i wielu gatunków zwierząt i roślin. Chrońmy takie miejsca póki jeszcze są!

Będąc w Trzcińsku trzeba zajrzeć pod nr 67, gdzie tworzą swe cuda gościnni i serdeczni kontynuatorzy piernikowych tradycji tych okolic. Potrzebny będzie miód, przyprawy korzenne oraz... pieprz. Można tu puścić wodze wyobraźni i samemu przyozdabiać słodki przysmaki. Bo, jak mówią trzcińscy piernikarze, z piernika można wyczarować wszystko, nawet serce! A może ktoś zrobi następną piernikową chatkę Baby Jagi?

Stamtąd już niedaleko do Sokolików, bardziej znanych jako „cycki Lolobrygidy" z racji swego charakterystycznego kształtu. Krzyżna Góra, bliźniak Sokolika, zawdzięcza swą nazwę wielkiemu 7 metrowemu metalowemu krzyżowi, który wielkim wysiłkiem na szczycie kazała ustawić Maria Anna Amalie von Hessen-Homburg dla upamiętnienia rocznicy urodzin jej męża Wilhelma von Hohenzollerna. U stóp tego szczytu, na wierzchołek którego prowadzą wykute w skale stopnie, stał kiedyś średniowieczny zamek Sokolec. Teraz trudno znaleźć miejsce, gdzie się niegdyś znajdował. Sokoliki są bardzo chętnie odwiedzane przez wspinaczy skałkowych.

MIEDZIANKA

Do Miedzianki poszedłem prosto z Bolczowa poznać zupełnie inną historię - historię nieistniejącego najmniejszego miasta Prus. Długa wędrówka w pełnym słońcu z każdym krokiem wzmagała pragnienie.

„Żeby chociaż jakieś małe piwo... Albo wody z sokiem choćby jeden łyk!"

- brzmiały mi w głowie dobrze znane słowa starej, turystycznej piosenki, śpiewanej wielokrotnie tutaj w Karkonoszach. Czasem podczas samotnej wędrówki po górskich szlakach, czasem w towarzystwie wykonawców - zespołu EKT Gdynia. I kiedy teraz zza zakrętu wyłonił się maleńki lokalny browar, pomyślałem, że słowa mają jednak ogromną moc. Podobną, jak moc tego miejsca, w którym teraz jestem. Miejsca, w którym przed laty słychać było nawoływanie kupców, porykiwanie bydła i odgłosy dziecięcych zabaw. Miejsca, w którym możesz dziś znaleźć się i ty, choć nie spotkasz tu już pana Frantzkiego, browarnika, ani burmistrza Smudego, ani proboszcza Johannesa Kaušmana, ani Maxa Sistenisa, miejscowego utracjusza i kompana do kufla dla każdego. Ach tak, był jeszcze Pan Schutz ze swoją destylarnią i ....stacja paliw Shell!

Nie spotkasz, bo dziś po Miedziance zostały tylko piękne wspomnienia i bolesne tajemnice.

„Wszędzie pusto i upalnie... W gardle sucho, niech to trafi....!"

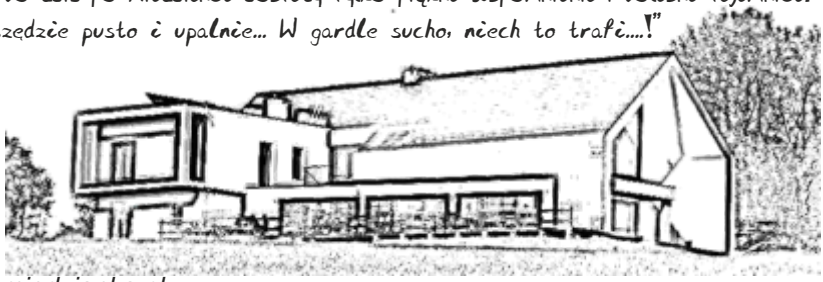

www.browar-miedzianka.pl

I tylko wskrzeszony na nowo z pasją godną podziwu browar pozwala odpocząć na szlaku i usiąść w zadumie nad szklanicą Cycucha Janowickiego. Spróbuj odtworzyć w wyobraźni obraz małego, samowystarczalnego miasteczka, w którym takiego dnia jak dziś, pani Motitz zamawiała u Augusta Schiedecka, miejscowego rzeźnika pół wieprzka na urodziny swojego męża, cenionego kowala. Przyszła tu w butach, które przed chwilą odebrała od pana Exnera, szewca, jakich mało, którego rzemiosło ceniono daleko poza Miedzianką.

Bo przed II wojną najmniejsze miasto Prus wyglądało jak każde inne miasto: rynek, dwa kościoły, szkoła, browar, szewc i sklep kolonialny. Tętniło życiem głównie za sprawą wydobycia srebra i rud miedzi. Po wojnie Rosjanie utworzyli tu tajną kopalnię rud uranu, ściągnęli do pracy przesiedleńców ze wschodu i innych ochotników – poszukiwaczy przygód a nawet więźniów.. Pokład nie był wydajny, starczył na zaledwie cztery lata, ruda zawierała niewiele uranu. Wydobytą rudę uranu wywieziono w głąb Rosji. Nie dało się jednak wywieźć radioaktywnej pylicy płuc u robotników i wad wrodzonych u dzieci. To dramatyczne efekty nieodpowiedniego obchodzenia się z uranem, ignorowania zagrożenia i niestosowania środków ochronnych. Zostały też niezabezpieczone wyrobiska i kilometry podziemnych korytarzy biegnących w różnych kierunkach.

Miasto zaczęło się zapadać. Wyobrażam sobie zdziwienie mieszkańców, kiedy zamiast ujrzeć, jak zwykle, rosnące tu od wieków ogromne drzewo zobaczyli tylko szczyt jego korony w zapadlisku. Ludzie bez pytania nikogo o pozwolenie, przenosili się z domów bardziej zniszczonych do tych w lepszym stanie. Zresztą nie mieli innego wyjścia – władze zabroniły odbudowywania. Wieś wyludniała się. W końcu w 1972 r. zapadła decyzja o przesiedleniu pozostałej ludności do nowo wybudowanego osiedla Zabobrze w Jeleniej Górze i wyburzeniu pozostałej jeszcze nielicznie oryginalnej zabudowy. Dlatego to dziś widzę tylko kilka budynków, w tym ledwie zachowany browar. Ludzie z pasją starają się odbudować bogate tradycje piwowarskie, chętnie wyjaśniają techniki produkcji tego złocistego napoju. Może Miedzianka dzięki nim nie zniknie z map. Polecam wam lekturę znakomitej książki Filipa Springera „Historia znikania", z której dowiecie się znacznie więcej o fascynującej i zagmatwanej historii najmniejszego miasta Prus.

MYSŁAKOWICE

Jestem w Mysłakowicach, jedynej wsi o tej nazwie w Polsce. Ale nie poszedłem do pałacu, choć bardzo ciekawe są 6 metrowe szczęki wieloryba przed nim ustawione. Zakupił je sam król Wilhelm IV za 45 talarów, sumę niebagatelną na ówczesne czasy. Kuracjusze i turyści odwiedzający pobliskie źródła termalne w Cieplicach wierzyli, że są to szczęki prądawnego olbrzyma. Plotkę tę, przy kuflu piwa, miejscowi powtarzali chłonącym z otwartymi ustami kuracjuszom, stając się w ten sposób prekursorami turystycznego marketingu i reklamy! Uczmy się od nich i dziś promocji naszego regionu.

Poszedłem za to oglądać równie jak szczęki „olbrzyma" nieznaną miejscową atrakcję architektoniczną: domy tyrolskie. Skąd się tu wzięły domostwa jako żywo przypominające alpejską zabudowę? Prosto z Alp, oczywiście! Mysłakowice były w I połowie XIX wieku letnią rezydencją króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III, który w 1837 roku postanowił sprowadzić do swej posiadłości 415 Tyrolczyków, prześladowanych w katolickiej ojczyźnie za swe ewangelickie wyznanie. Nowi osadnicy mieli znaleźć azyl na protestanckim Śląsku. Po wydaniu zgody przez cesarza Austrii Franciszka I ruszyli w długą 700 kilometrową podróż do nowej ojczyzny. Król podarował im ziemię i dał pomoc w stawianiu domów. Wybudowano ich 43: bardzo charakterystyczne, drewniane, piętrowe (w odróżnieniu od parterowych zwykle domów sudeckich), z ciężkimi, wystającymi dachami i balkonami obiegającymi domy prawie wokoło. Przybysze z dalekich Alp przywieźli ze sobą w Karkonosze nie tylko inny sposób budowania domów. Odmienne były także ich stroje, którymi wyróżniali się ze społeczności Mysłakowic na co dzień i od święta. W pierwszym polskim przewodniku po Karkonoszach, napisanym w 1849 roku przez Rozalię Saulson znalazłem taki mianowicie opis stroju tyrolskiej pary: "Tyrolka ubrana w czarną lub ciemnego koloru spódnicę, kaftanik czarny, spod którego wygląda kolorowa chusteczka na szyi. Fartuch szeroki, ciemny, włosy z obu stron w grube ujęte sploty, głęboko na twarz spuszczone. Kapelusz czarny, pilśniowy, otoczony sznurkami kolorowych paciorek lub sztucznym kwiatem; nawet przy zajęciu gospodarskim nie zdejmuje go Tyrolka. Zastępuje on jej miejsce czepka. Tyrolczyk nosi cały ubiór z marszestru czarnego (rodzaj tkaniny podobnej do dzisiejszego sztruksu), pończochy nosi białe, półbuciki sznurowane."

Tyrolczycy, alpejscy austriaccy górale z czasem, choć nielatwo i powoli zintegrowali się z miejscowymi, rody się pomieszały, tradycje przeniknęły nawzajem. Także smaki, w sposób bardzo demokratyczny, bo nic, tak jak dobre jadło nie jednoczy ludzi, pomieszały się tutaj i choćby karkonoskie kyselo (rodzaj żuru) jada się tu z rdzennie alpejskim kaspressknodel. Smaczne, proste i przyrządza się tak: 30 dag suchego białego chleba lub bułki, 2 jajka, szklanka ciepłego mleka, jedna cebula. 30 dag pikantnego sera górskiego (najlepszy owczy, lub kozi), pietruszka, sól, pieprz, gałka muszkatołowa do smaku, olej lub masło do smażenia, kilka łyżek mąki. Jajka mieszamy z mlekiem i doprawiamy przyprawami. Tak przygotowanym płynem zalewamy pokrojony w kostkę chleb lub bułki. Cebulę obieramy i kroimy w drobną kostkę. Podsmażamy na maśle lub oleju. Ser kroimy w niedużą kostkę. Cebulę i ser mieszamy z namoczonym pieczywem i kilkoma łyżkami mąki. Formujemy nieduże kulki i obsmażamy na maśle lub oleju. Gotowe knedelki wrzucamy do zupy. Można też podawać kaspressknodel jako danie główne, ze szpinakiem, baraniną i czymkolwiek, co nam tylko fantazja podpowie.

ŁOMNICA

Postanowiłem sam zrobić ser, przecież to nic trudnego, nasi przodkowie robili go codziennie. Ci, których nie stać było na krowę hodowali, a raczej jak się mówiło wtedy „trzymali" kozy lub owce. Nie mam żadnego z tych zwierząt, wybrałem się więc do Łomnicy, do Koziej Łąki - gospodarstwa ekologicznego. Tam z miejsca dostałem zydelek, wiaderko i musiałem posiąść bardzo trudną sztukę dojenia kozy. Długo trwało zanim udało mi się wreszcie udoić może łyżkę mleka. Aby dłużej nie narażać biednego zwierzęcia na takie tortury pozwolono mi na użycie mleka z porannego udoju. Sam wyrób sera nie jest skomplikowany, ani nie wymaga zbyt wielu specjalistycznych urządzeń. Najważniejsza jest czystość, cierpliwość i ciężka praca. Nie można przyspieszyć tego procesu, wszystko musi nastąpić w odpowiedniej porze, w zgodzie z naturą. Tak właśnie dzieje się w Koziej Łące. Cudownie smakuje zrobiony własnoręcznie kozi twarożek z kozieradką! Polecam!

www.serylomnickie.pl

KARPNIKI

W niewielkiej wsi Karpniki stoi sobie wyniosłe budowla wcale nie wiejska, szykowna, ogromna, imponująca i majestatyczna. Pałac jak zamek, lub zamek jak pałac, jak wolimy. Białe, strzeliste cylindryczne wieże, portale, sztukaterie i polichromie oddają splendor i ducha, a także zasobność szkatuły dawnych lokatorów. Wybudowany w 1426r przez Henryka Brodatego zamek przeżył przez wieki swej historii najazdy husyckie, pożary, odbudowy i przebudowy. W 1822 r., nabył go ówczesny gubernator Nadrenii książę Wilhelm Pruski, młodszy brat króla Fryderyka Wilhelma III, który urządził tu swoją letnią rezydencję. Zapewne jadło się tu dużo i dobrze. Możliwe, że „kucharz kaczki starannie piekł, jak należy, w brytfannie...". Z pewnością, oprócz mięsiwa na stołach tutejszych gościły też tłuste karpie i to właśnie od nich wywodzi się nazwa tej wioski.

„gwiazdy to ryby latające..."

O rybach, które „odleciały" sprzed nosa chciwego notabla w pewną usianą gwiazdami, księżycową noc mówi ciekawa historia:

Wieś Karpniki, w odległej przeszłości istniała jako podzamcze warownego zamku Sokolec w Górach Sokolich i nazywano ją dawniej Podsokolec. Ta nazwa na pewno przetrwałaby do dziś, gdyby Sokolec nie zmienił się w porośniętą lasem ruinę i gdyby obok wsi nie został zbudowany nowy zamek pana tej okolicy. Biegli kamieniarze z wielkim trudem wznieśli z miejscowego kamienia obronny zamek z czterokątną wieżą i niewielkim dziedzińcem, otoczonym murem. Nie wiadomo jak zwał się rycerz, który nakazał go zbudować, nie wiemy nic o ludziach, którzy przy pomocy metalowych motyk wykopali głęboką fosę, którą później napełniono wodą. Można się jedynie domyślać, że właścicielem był człowiek mądry i gospodarny, bo zanim zamieszkał w nowej siedzibie, do wody wpuścił jakieś ryby, nieznane miejscowym ludziom, sprowadzone z dalekiej Saksonii, które po obcemu nazywano "karpfami", a na które ludzie później mówili "karpie".
Od tego czasu żyły karpie w wodach zamkowej fosy, karmione grochem i kaszą. Stół w zamku zdobiły w każdy piątek oraz gdy pan swych gości przyjmował.
Przez wiele lat nikt z podgrodzia tych ryb nie podkradał, zadowalając się innymi, gdzie indziej łowionymi, ponieważ ksiądz-dobrodziej z ambony w kościele niejeden raz zapowiadał, że owe karpfy są rybami stworzonymi przez Boga wyłącznie dla osób szlachetnie urodzonych oraz dla duchownych, którzy z Panem Bogiem na co dzień obcują. Człek zaś nieurodzony, który do służenia, książętom, panom-rycerzom i klasztorom jest stworzony, nie może jeść tej ryby, bo zawiera ona groźne dla niego wapory, które gdy brzuch jego wypełnią, spowodują tak ogromne boleści, że żadna "mądra baba" ich nie zdołała uśmierzyć ani zamówić. Wierzono słowom księdza długo, aż do czasu, gdy przybył do zamku w gościnę rycerz niebogaty, bo tylko z jednym pachołkiem na mizernej kobyle. Tenże pachołek kilka z przyzamkowych karpi nocą ukradł, wypatroszył, cichcem na ogniu upiekł i zjadł. Przez pięć nocy to samo czynił bez obaw wszelkich i nie skonał, chociaż spodziewali się tego ludzie. Od tego czasu wszyscy okoliczni mieszkańcy zaczęli nocami wykradać z fosy ryby. Jednak którejś księżycowej nocy dostrzegł to strażnik służbę pełniący i panu zamku o tym fakcie zameldował. Szlachcic lud swój zgromadzić kazał i powiadał, że przyłapanych surowo karać będzie i nie karą pręgierza, czy też chłosty, lecz gardłem.

W trzy dni później ujęli strażnicy syna pewnej wdowy i powiedli go w dybach do pana, a ten dla odstraszenia innych poddanych i okazania surowości, wydał polecenie, aby niezwłocznie powiesić tego chłopaka. Nie pomogły prośby o litość i zmiłowanie. Nie pomogły błagania ani łzy jego matki. Złodziej został powieszony w samo południe. Tejże samej nocy przyśnił się panu zamku. Przyszedł do niego i przyciągnął do sypialnej komnaty olbrzymiego karpia na grubym powrozie. Gdy ryba patrzyła na zdumionego i przerażonego jej widokiem rycerza swymi olbrzymimi oczyma chłopak oznajmił, że odchodzi ze swej ubogiej chaty i że zabiera ze sobą ryby z zamkowej fosy.

Pan obudził się przestraszony i spocony tymi sennymi widziadłami. Jakieś przeczucie nakazało mu natychmiast wstać i wyjść nad fosę, a gdy to uczynił, w blasku księżyca dostrzegł przedziwne widowisko. Wszystkie karpie wyskakiwały z wody i zaczęły oddalać się brzegiem potoku. Były ich tysiące. Nie mógł ich policzyć i nie mógł uwierzyć własnym oczom, że aż tyle mieściło się w zamkowej fosie. Zrozumiał, że ryby będące jego własnością i stanowiące ulubiony przysmak odchodzą w siną dal. Zaczął biec za nimi, stanął na ich drodze i krzyczał, aby zawracały. Nie pomogło to jednak. Pełzły dalej w obranym przez siebie kierunku, nie reagując zupełnie na jego krzyki. Zdenerwował się ogromnie i ze złości zaczął deptać je stopami odzianymi w buty wykonane z safianowej skóry.

– Nigdzie nie pójdziecie! – krzyczał głośno. – Zadepczę was wszystkie na śmierć!

Nie zdołał, bo pośliznął się, stając na jednej z ryb, upadł i stracił przytomność, uderzając głową o kamień. Jak długo leżał na ziemi, nie wiedział, lecz gdy przyszedł do siebie, stwierdził, że znajduje się na drodze w pobliżu zamku. Poczuł się bardzo zmęczony, chwiejnym krokiem ruszył w stronę zamku, zataczając się jak pijany. Dotarł ostatkiem sił na dziedziniec i natychmiast rozkazał zaprowadzić się do sypialni. Tam ułożono go zaraz w łożu. Posłano natychmiast po medyka do Jeleniej Góry. Nie doczekał się jednak jego przybycia. Zmarł, nieborak, jeszcze tego samego dnia. Ostatnie jego słowa brzmiały: "Moje karpie!".

Stąd ludzie grupę chat, stojących na podzamczu nazwali Karpnikami.

Karpi w Karpnikach już raczej nie znajdę, ale w okolicznych stawach hodowlanych dorodne pstrągi tęczowo odbijają słoneczne światło. Ryby te, znakomitej jakości, stanowią obecnie prawdziwie szlachetny produkt lokalny i wizytówkę tych okolic. Warto spróbować świeżo złowionego pstrąga, siedząc nad jednym ze stawów, spoglądając na główne pasmo majestatycznych gór. Zaproszę przyjaznego ludziom Karkonosza, podzielimy się słodkim pstrągiem i nieco bardziej słonym rachunkiem!

Fragmenty z:
Urszula i Aleksander Wiąckowie:
„Legendy Karkonoszy i okolic"

KOWARY

Ilekroć odwiedzam pałace, zamki i inne wiekowe rezydencje magnackie staram się wyobrazić sobie ich dawnych mieszkańców: piękne damy w szeleszczących sukniach, majętni i wpływowi panowie, turkot karoc i parskanie koni...
Tak jest i tutaj, w Ciszycy, będącej częścią Kowar. Właścicielem pałacu był Antoni Radziwiłł, namiestnik Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Jego najstarszą córką była piękna i znana z dobroci siedemnastoletnia Eliza. Oczyma wyobraźni widzę jej pierwszy bal, kiedy zaczęła tańczyć z 8 lat starszym następcą tronu pruskiego Wilhelmem Hohenzollernem. Nie mogli się od siebie oderwać. Tak zaczął się romans, który poruszał zarówno Polaków, jak Niemców. Młodzi spotykali się, nawet wbrew etykiecie dworskiej, między innymi w tym pałacu. W lutym 1825 spędzili trzy dni w Poznaniu, nie rozstając się ze sobą. Wilhelm napisał później w pamiętniku, że były to najpiękniejsze trzy dni, kiedy uważali się za narzeczonych. Ale małżeństwo następcy tronu nie może być zawarte z miłości, choćby największej - to raczej strategiczna decyzja. Dwór pruski nie chciał słyszeć o Polce na ich tronie. Mimo to młodzi spotykali się nadal, jeszcze przez kilka następnych lat. W końcu zakochanego szczerze w Elizie Wilhelma racja stanu zmusiła do ożenku z Augustą, córką Wielkiego Księcia Sasko-Weimarskiego. Według osób z kręgu późniejszego cesarza Wilhelma I do końca życia wspominał on Elizę. Ona zachorowała na gruźlicę i poświęciła się dobroczynności. Przez okoliczną biedotę, którą wspierała nazywana była aniołem. Zmarła w wieku zaledwie 31 lat tu, w Ciszycy. W 1938 r. nakręcono w pałacu film „Legenda miłosna" opowiadający tę historię, ale po berlińskiej premierze minister propagandy Goebbels zakazał jego rozpowszechniania: zbyt wiele polskich wątków... Cenzura i względy polityczne nie pozwoliły przedwojennym kinomankom, a może kinomanom także wzruszać się do łez historią bez happy endu, ale za to najprawdziwszą, realną jak ciszycki pałac.

Kowary jednak odwiedzam chętnie także z innych względów: kiedyś był to pierwszy kurort Karkonoszy. Lubię patrzeć na stare fotografie pokazujące zjazd saniami rogatymi z Przełęczy Okraj do miasta, lubię podziwiać wspaniałą, wzorowaną na najwspanialszych budynkach szwajcarskiego Davos architekturę szpitala Wysoka Łąka. Także i dzisiejszemu turyście mają Kowary wiele do zaproponowania: Park Miniatur, czy zwiedzanie kryjących wojenne tajemnice uranowych sztolni, lecz zwykle wygodne przyjezdne mieszczuchy wolą deptak w zgiełkliwym pobliskim Karpaczu.

ZAMEK BOLCZÓW

„...a mury runą, runą, runą...”

Niektóre tak. I dobrze - niech runą jak najprędzej mury podziałów politycznych, religijnych, nienawiści i nietolerancji. Inne niech trwają, ku naszej nauce i niechaj przypominają echa minionych epok
Myślę o tym, bo kolejny raz wybrałem się na zamek Bolczów. Tym razem nie najprostszą drogą z Janowic Wielkich, ale aż z Raszowa. Przyprowadził mnie quest „Rycerski szlak”, wytyczony i napisany przez Green Gate. Niezmiennie zadziwia mnie mistrzostwo wykorzystania masywnych granitowych skał do wkomponowania w nie murów zamku. Tak biegli byli średniowieczni mistrzowie kamieniarstwa. Zamkiem tym władali kiedyś niesławni rycerze - rabusie, napadający nawet na swoich sąsiadów. Stoi on w ruinie od 1645 r., zniszczony przez wycofujących się Szwedów. Nie przeszkodziło to w funkcjonowaniu pod bramą głównią drewnianej gospody przez pierwszą połowę XX w. Wielka szkoda, że dziś trzeba jadło i napoje przynieść tu, pod górę, na swoich plecach. Zachęcam jednak do urządzenia sobie małego pikniku (nie ogniska!) w murach zamku.
Nie zapomnijcie tylko zabrać swoje śmieci na dół – opróżnione butelki i puste opakowania są dużo lżejsze niż pełne.

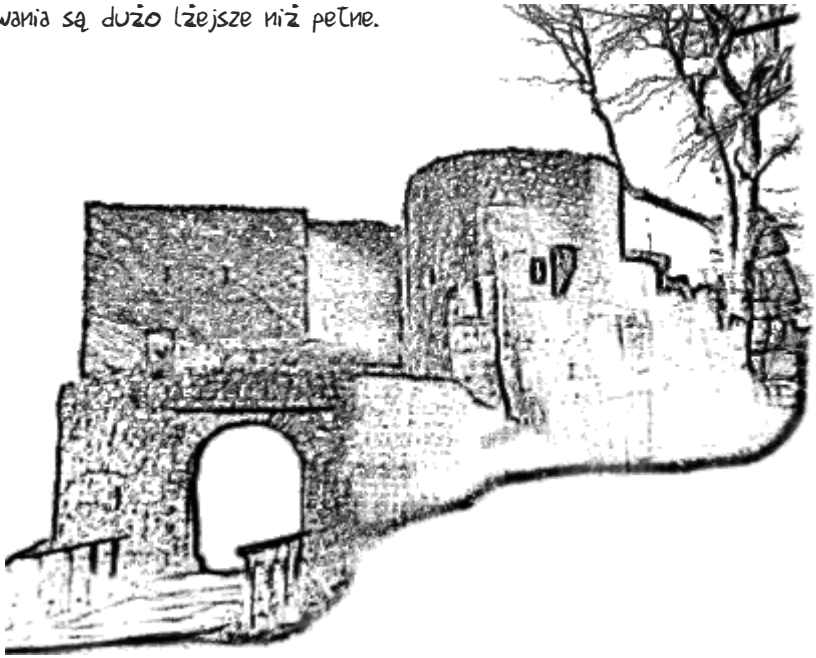

Publikacja stanowi własność Sudeckiego Stowarzyszenia Ekorozwoju Green Gate i jest udostępniana na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska http:// creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl/

Wydanie pierwsze, Kamienna Góra 2015

www.greengate.org.pl